



Krzysztof Kwiatkowski „Krisek”

rozmawiała: *Anna Maziuk*
zdjęcia: *Max Zieliński, archiwum Krzysztofa Kwiatkowskiego*



„Jestem pedagogiem, więc jeśli dostaję uszkodzone dzieci, nie przeżywam tego emocjonalnie, tylko biorę się do roboty” – mówi wieloletni instruktor survivalu Krzysztof Kwiatkowski „Krisiek”, który z dziećmi i młodzieżą pracował w domu dziecka, w pogotowiu opiekuńczym, a potem przez wiele lat w ośrodku wychowawczym dla chłopców. Jest autorem książki „Survival po polsku”. Od trzydziestu lat organizuje obozy w Bieszczadach.

Dziś zwykły wypad do lasu z namiotem często nazywany jest survivaliem.

Czasem pani, która szuka czegoś w torebce i nie może tego znaleźć, mówi: „Ale miałam survival”. Odkąd survival zrobił się w Polsce modny, największe wzięcie ma ten rekreacyjny. Polega to na tym, że robimy coś z survivalowego zakresu, ale czas spędzamy w bezpiecznym miejscu, razem, przy ognisku. Jesteśmy ubrani na zielono, mamy

przy pasie dużo sprzętu. Tylko od czasu do czasu ktoś wyrwie się na poznanie trudów, na przykład pozorowanie akcji ratowniczej na pękniętym lodzie. Powiedziałbym, że survival to posiadanie, zdawałoby się, podstawowych rzeczy, które czynią człowieka survivalowcem – dużo specjalistycznego sprzętu, który potrafimy obsługiwać i z którym świetnie radzimy sobie w terenie. Niektórzy dodają, że nie wystarczy umiejętność rąbania drzewa, znajdowania i pozyskiwania wody czy rozpalania ogniska, potrzeba jeszcze wiedzy. Minimum ratowniczej i medycznej, ale przydałoby się mieć pojęcie o fizjologii i psychologii społecznej, czyli życiu między ludźmi. Jeszcze wyższy poziom nazwałbym moralnością survivalową i filozofią polegającą na tworzeniu wizji, które ułatwią innym życie. Survival to nie tylko łażenie do lasu, to też nauka panowania – w sposób przemyślany i zrównoważony – nad sobą i przyrodą, rozumienia tego, co wokół nas, jakie prawa



zająć światem i jakie jest w nim miejsce człowieka.

Dlaczego zaczął pan pracować z tak zwaną trudną młodzieżą?

Już jako nastolatek byłem pedagogiem podwórkowym. Któregoś razu chłopcy z tego samego podwórka podeszli do mnie, bo umiałem naprawiać motorower. Potem zaczęli opowiadać o swoim życiu, jeszcze później o życiu swoich kolegów, ich kłopotach. Wszedłem w to zupełnie naturalnie. Widziałem te istoty potrzebujące wsparcia dorosłego, odkąd zacząłem dorastać. Byłem po prostu ich starszym kolegą. Zawsze, nawet jako wychowawca, tak się czułem. W takiej właśnie roli występowałem, czasem wręcz było mi idiotycznie reprezentować moją instytucję – ośrodek wychowawczy – bo była sztywna i czasem niezbyt mądra. Na szczęście trafiali tam bardzo przyzwyczajeni ludzie z dużą wrażliwością, z którymi cudownie się pracowało. Bywało, że kiedy z trzech wychowawców przypisanych do jednej grupy tylko jeden miał akurat dyżur, pozostali dwaj też siedzieli z nim i z chłopakami. To był nasz czas wolny, mogliśmy przecież zajmować się czymś innym, ale mieliśmy poczucie, że tu dzieje się coś ważnego.

To chyba była dla pana bardziej przygoda niż praca.

Miałem kiedyś kolegę, był świetnym wychowawcą. Kiedy wprowadzałem go do roboty, mówił, że po powrocie do domu wszystko zostawia za sobą. Zapytałem: „To co, w domu jesteś sobą, ale praca to już nie ty, więc tutaj ciebie nie ma, tak? Sobą jesteś tylko pomiędzy tą częścią życia, kiedy śpisz, a kiedy jesteś w pracy?”. Powiedziałem mu wtedy, że przecież w pracy to też jest on. Praca zawodowa może być wielką pasją i miłością. Życie nie polega na smutnej harówce, nawet jeśli w trakcie człowiek się spoci.

Resocjalizacja przez survival – jak to działa?

W ośrodku pomogło to nam zbudować poczucie wspólnoty opartej na tym, że jesteśmy duchowymi survivalowcami, braćmi w survivalu. Widziałem, jak ci chłopcy się zmieniają. Kolega pedagog, profesor Jacek Pyżalski, pojechał kiedyś ze mną na taki obóz, żeby analizować naukowo to, co się tam działa. Doszedł do wniosku, że survival jest tylko narzędziem. Efekty bardziej niż od narzędzia zależą od człowieka, który je stosuje. Nie można powiedzieć, że ktoś się zmienił dzięki survivalowi, co najwyżej, że zmienił się dzięki survivalowi prowadzonemu przez mądrego człowieka. Bo inny prowadzący być może namieszałby jeszcze bardziej.

Pan od początku wiedział, jak to robić?

Mnie pedagogiem uczyniło małżeństwo pedagogów, z którymi się zaprzyjaźniłem. Naprawdę nade mną harowali. Dziś jesteśmy jak rodzina. Kiedyś z moją mamą zakombinowaliśmy, żeby zaprosić na święta dziecko z domu dziecka. Poszedłem na zwiady. Wszędzie słyszałem, że nie ma problemu, tylko w jednym miejscu powiedzieli: „Dziecko nie jest wypożyczaną zabawką”. Zostałem, zaprzyjaźniłem się z Basią, która była tam dyrektorką. Ona i jej mąż Czesiek zabierali mnie później na kolonie, które prowadzili. Byłem tam wychowawcą. W sumie dziesięć lat tak razem jeździliśmy. Chyba nie wyobraziłbym sobie tak wspaniałych kolonii, gdybym na nich nie był. Dzisiaj pewnie zlinczowano by nas za to, że wyprowadziliśmy dzieci w nocy do lasu. Budziliśmy je pod pretekstem pomocy leśniczemu w płoszeniu kłusowników. Ten, kto wstał, był wtajemniczany w to, że to gra. Wychowawcy z gwizdkiem i latarką latali po lesie, tu gwizdali, tam świecili i trzeba było ich złapać. Któregoś razu dostałem reprimendę od Basi. Wyjaśniła mi, że chociaż

jestem bardzo mądry, wysportowany i szybki, dziecko musi mnie czasem złapać, bo dopiero wtedy jest radocha. Uczyłem się wtedy odpowiedzialności, że wychowawca powinien czasem wpaść na jakieś drzewo, zapłatać się w krzakach, żeby podopieczni go dopadli, żeby piszczeły z radości. Z tych kolonii bardzo dużo przenieśliem na swoją późniejszą pracę.

Co na przykład?

Niewymuszonosc w kontaktach. Nie spinałem się, nie robiłem fochów. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: pani kierowniczką Basia występuje na apelu. Nagle któreś dziecko krzyczy: „Pif, bulwa-niemowa”, i pani kierowniczką nabiera powietrza w usta i nieruchomieje. Bierze udział w grze, stoi tak, aż do momentu, w którym nie usłyszy zwalniającej komendy: „Paf”. Współuczestniczy w tym, co się dzieje. To stało się moją myślą przewodnią w pracy z młodzieżą, a potem w survivalu. Jeżeli wprowadza się kogoś do survivalu, instruktorzy nie chodzą jak dostojni lordowie i matrony, którzy tylko się przyglądają i powtarzają: „Baw się dziecko nasze kochane, baw”. Trzeba w to wejść i przeżyć razem.

To wystarczy?

Każda nasza reakcja jest ważna. Nie z góry, ex cathedra, tylko spontaniczne: „Ale jesteś świetny!”. Działa każdy ruch, każda emocja, zmarszczenie brwi. Jacek Pyżalski, ucząc pracy z trudną młodzieżą, mówi o takich podstawowych rzeczach, że jak podopieczny grzeszy, to nie wal go siekierą czy młotem, tylko zareaguj najłagodniej, jak się da. Napotykać wzrok takiego, który coś przeszkrobał, pokazywać mu mimiką, że to nie w porządku. To całkowicie wystarczyło. Nie było kłótni, protestów, polemiki na słówka: „Weź przestań”, „Jaki Czesław?” – bo to do rymu. Młodzież ma to świetnie

przećwiczone, dlatego dorośli nie potrafią sobie z nią poradzić, od razu tracą rezon i działają przez krzyki. To ciągłe zmaganie się z kimś powoduje, że młodzi wreszcie uczą się sposobów, żeby zasypać przeciwnika słowami bez sensu. Wtedy dorosły, który wszędzie musi widzieć sens, czuje się bezradny i najczęściej przegrywa.

A pan jak to rozszyfrował?

Podczas pracy w domu dziecka zaobserwowałem, że dzieciaki operują „odzywkami”. Nauczyłem się, że sztuka polega na tym, żeby przegadać przeciwnika. Liczy się, kto ma ostatnie słowo, nawet jeśli to słowo jest bzdurne. Chodzi o to, żeby mówić, nawet bez sensu. Jeszcze lepiej, jak coś się zrymuje. Z taką wiedzą przeszedłem do ośrodka, a tam spotkałem wyśmienitych byków. Żeby złapać z nimi kontakt, przesiadywałem to w tej, to w tamtej sypialni. Raz wpakowałem się w takiego słownego ping-ponga. Zebrał się tłumek, który słuchał każdego słowa. Nagle coś palnąłem i zapadła cisza. Ich przywódca roześmiał się i mówi: „Wychowawca cię przegadał”. Zostało przyklepane. Ja w ten szczególny sposób nie myślałem, ale oni tak. Przyszedł nowy, nie znamy go. Okazało się, że ma gadane, nie poddał się od razu, mało tego, wygrał. Dzieci bardzo lubią bawić się słowami, przeinaczaniem. Ludzie dorośli kompletnie nie rozumieją, że to rodzaj gry. Jeśli ktoś na początku pokaże, że jest bezradny, myślą: „Po co z facetem gadać? Fajtłapa”.

Pan fajtłapą nie był.

W pewnym momencie zacząłem nawet chłopakom dokuczać słownie. Byli zdeorientowani, ale odbijali piłeczkę, wchodził w grę. Co się zmieniło? Niesamowicie dużo, dlatego że chłopak, który w trakcie takich zabaw wyszedł, trzaskając drzwiami, po chwili uchylał je, żeby zapytać, jak wyszło. Czy dobrze trzasnął, czy będzie poklask.



Jeżeli tak się bawimy, to jak teraz strze-
lić focha naprawdę? Nie ma jak! Uczymy
się panowania nad własnymi emocjami.
Zabawa w złość, dokuczanie sobie, przy
jednoczesnych gestach świadczących o tym,
że o siebie dbamy, zaszczenia to, żeby tak
bardzo pewnych spraw nie przeżywać. Póź-
niej, kiedy przychodzą naprawdę trudne
chwile, rozmawiamy, a niszczące emocje się
nie pojawiają.

Jak pan sobie jeszcze z nimi radził?

Zawsze pytałem nowych chłopaków, jak
by zareagowali, gdybym był dla nich nie-
sprawiedliwy albo oni by czegoś pragnęli,
a ja powiedziałbym „nie”. Czy bluzgnęliby
na mnie, trzasnęli drzwiami, uciekli, prze-
bili mi opony w samochodzie? Wtedy oczy
im rosły i tłumaczyli, że oni tacy nie są.
Jacek mówił, że zabierałem im w ten spo-
sób element zaskoczenia. Bo we wszystkich
tych rejtanowskich gestach najważniejsze
jest zaskoczenie, zrobienie czegoś nagle,
tak, że dorosły się poddaje. Ja przedstawia-
łem im wszystkie możliwe zachowania.
Po co oni mieli robić coś, na co ja już jestem
przygotowany?

Od początku było tak łatwo?

Gdzie tam. Do ośrodka przeszedłem
z poczuciem, że „jestem kims”, bo w pogo-
towiu opiekuńczym byłem już postacią zna-
czącą. Nagle znalazłem się w środowisku,
gdzie byłem zupełnie nikim. W dodatku na
początku dostałem szóstoklasistów – świe-
żaków, sam też byłem świeżak, a do tego
mój współwychowawca nie był pedagogiem
wybitnym. W ośrodku toczyła się ciągła
walka o władzę, między innymi o duszyczki
tych świeżo przybyłych. Ci najmłodszy nie
mieli dla mnie żadnego szacunku czy uwagi,
bo walczyli o przetrwanie między dwiema
grupami starszych kolegów. Pamiętam, jak
po próbie wykonania z nimi jakiegoś zada-
nia, kiedy olali mnie totalnie, wróciłem do

pokoju wychowawców i padłem na twarz
na stojący tam tapczanik. Leżałem tak
z dziesięć minut. Wykopali mnie ze swojego
świata, nie istniałem. Z czasem się ogarną-
łem i zacząłem się przyglądać temu, jak to
tam funkcjonuje. Dopóki byłem skoncen-
trowany na sobie, nie miało to sensu, bo nie
o mnie chodziło, ja tam nie miałem na nic
wpływu.

Co się zmieniło?

Jednym z przełomowych momentów było
zdarzenie, o którym dzisiaj mówię jak
o jeździe bez trzymanki. Nie umiałbym
nawet powiedzieć, co mną wtedy kiero-
wało. Wszedłem do niewielkiej łazienki,
na ścianach zobaczyłem krew, na podłodze
kępy włosów. I dwóch naparządzających się
największych zbirów ośrodka. Ich twarze to
już było mięsiwo. Na parapetach siedzieli
kibice dopingujący jednego i drugiego.
Już wtedy miałem taką zasadę, żeby zadać
sobie pytanie o to, co by w takiej sytuacji
zrobił typowy wychowawca, i tego nie
robić, bo to oznaczało przegraną. Wiedzia-
łem, że typowy wychowawca wrzasnąłby:
„Natychmiast przestać! Kto zaczął?”, albo
coś w tym stylu. Byłem w kropce. Ale ta
kropka trwała kilka sekund. Podszedłem do
walczących, wstawiłem między nich głowę
i powiedziałem do jednego z nich: „Poży-
czyłeś od moich chłopaków karty. Przynieś
je, bo chcemy zagrać”. Facet odwrócił się
i wyszedł. Oni się łomoczą, a ja tu – zupeł-
nie od czapy – o kartach. Ale zrobiłem to
w sposób zdecydowany. Już wtedy wiedzia-
łem, że moje pojawienie się było dla nich
wybawieniem. Oni znali jedyny koniec
– jeden musi paść. Nagle zjawia się ktoś,
kto ma durny powód, ale oni są uratowani.
Od tego momentu zwrócili na mnie uwagę.
To był jeszcze czas, kiedy w tym ośrodku
wychowywało się pięścią. Ja wprowadza-
łem tam zmiany. Zabierałem na przykład
wychowanków na swoje wykłady z resocja-
lizacji, gdzie siedzieli na sali ze studentami.

Chodziliśmy do filharmonii, na wystawy. Jeździliśmy do wojska. To była dla nich fajna przygoda. Oczywiście, dużo im dawało oderwanie od nauki, ale wynosili też z tego wiele pozytywnych rzeczy. Zaczęli na przykład sami pilnować ładnego ślania łóżek, choć nikt im nie kazał.

Pan chyba pokazywał im przede wszystkim, że jest jednym z nich.

Siła survivalu jako narzędzia to właśnie brak hierarchii międzyludzkiej. Ona może powstać przez szacunek do autorytetu, do kogoś, kto bardzo dużo wie. Mam swoje lata, a spotykam dużo młodszych, którzy są dla mnie autorytetami w różnych kwestiach. Nie chodzi o wiedzę, bo tę można wykuć. Podziwiam raczej to, jak pracują z ludźmi. W działaniach z trudną młodzieżą fantastycznie sprawdzała się argumentacja survivalowa. Nigdy nie mówiłem: „Nie rób tak, bo to nieładnie”, tylko: „Wiesz, to nie survivalowe”, „Znaczy co?”. „Zachowując się w ten sposób, zrażasz do siebie ludzi. Jak przyjdzie co do czego, nie pomogą ci”. Szczęka w dół. To działało.

„Nieładnie” przecież nic nie znaczy.

Kiedy uczyłem resocjalizacji, mówiłem o tym, jacy jesteśmy nieprecyzyjni. Wrzeszczymy na dziecko, żeby było grzeczne, kiedy łyżeczką rozrzuca kaszkę po stoliku. Dziecko przestaje, a my znów, że jest niegrzeczne. Co ono tym razem robi nie tak? Ano jeździ styropianem po szkle, co strasznie piszczy, ale przecież jest fajne. Dziecko nie rozumie, czemu żądamy, by było grzeczne, przecież nie rozrzuca kaszki... Tak gromadzą się słowa i zdarzenia złe zakodowane. Dzieci są cholernie mądre, patrzą, co my, dorośli, zrobimy. A słyszą: „Nie bądź niegrzeczny, nie rób tego”. Zawsze mówiłem, że moja praca resocjalizacyjna polegała na łataniu, cerowaniu tego, co dorośli narobili. Sprzątałem po innych dorosłych.

Po własnych rodzicach też pan musiał posprzątać?

Rodzice byli rozwiedzeni, ale oboje bardzo kochałem, niesłuchanie dużo mi dali. Matka była bardzo opiekuńcza i akurat swoją nadmierną matczynością narobiła mi szkody. Ale to ona wprowadziła mnie w świat pedagogiki. W naszej pralni robiła coś w rodzaju świetlicy, gdzie z kolegami rysowaliśmy, lepiliśmy z gliny, robiliśmy teatrzyki. Ojciec był bardzo zrównoważonym człowiekiem, pokazał mi sens życia. Też miał pedagogiczne zapędy. Walczył na Zachodzie. Chciał mnie potem uczyć angielskiego, ale skończyło się na lekcjach dla moich kolegów. Bez wahania mogę powiedzieć, że rodzice byli dla mnie wzorami. Ojciec odszedł, mając dziewięćdziesiąt sześć lat. W ostatnim roku jego życia, kiedy był już mniej sprawny, zamieszkałem z nim. Życiowo i survivalowo ujmując – to był dar. Opiekowanie się starym rodzicem było dla mnie czymś przepięknym. To, że wieczorem mogłem go uściskać i powiedzieć, że był najlepszym ojcem, a rano już go nie było, to prezent.

Jako nastolatek nie sprawiał pan problemów?

Przez pewien czas byłem nieudanym egzemplarzem. Strasznie wagarowałem. To bolało szczególnie mojego ojca, który miał mnie za dorastającego mężczyznę. W końcu posłał mnie do pani psycholog. Nie powiedział, że muszę iść, tylko: „Zorganizowałem takie spotkanie, na którym sobie porozmawiasz”. To było dla mnie cudne przeżycie, rozmowa z tą starszą panią była jak spotkanie wróżki w dalekiej puszczy, w której się zabił. Dalej wagarowałem, tyle tylko, że zaczęło do mnie docierać, że coś jest nie w porządku, bo moi koledzy się rozwijają, a ja gniję. Któregoś dnia poszedłem do budki telefonicznej, wrzuciłem pięćdziesiąt groszy i poprosiłem o rozmowę z moim nowym wychowawcą. Nie znałem go, bo nie





zaliczyłem semestru. Moje wagary trwały prawie pół roku. Ten profesor rozmawiał ze mną zupełnie normalnie, bez żadnego: „Co ty sobie wyobrażasz?”. Powiedziałem mu, że tak tu gniję, ale boję się wrócić. A on na to: „To co, Krzysiu, wpadnij jutro”. Cały dzień się męczyłem, czy to „wpadnij” rzeczywiście znaczyło wpadnij, bo już nie masz po co wracać, czy po prostu – wracaj. Już wcześniej miałem problemy z wagarami, wzywano matkę, były tak zwane poważne rozmowy. A pan profesor zrobił – tak jak ja później – rzecz od czapy. Jak on prze-módził pozostałych nauczycieli? Nie wiem. Nikt mnie o nic nie pytał, nie mówił, że nie dam rady. Moje wagary były coraz krótsze, w końcu ustały, bo przestałem się bać powrotów.

Co poradziliby pan rodzicom, którzy mają problemy wychowawcze, tracą kontakt z dzieckiem?

Zaproponowałbym im obóz, na którym jest się na tych samych prawach co dziecko. Zazwyczaj chodzi o proste bycie razem. Trzeba cierpliwie czekać na efekty, nie ma możliwości, żeby cokolwiek przyspieszyć. Zawsze powtarzałem: szewc będzie idiotą, jeśli – kiedy przyjdzie do niego klient z butami – wścieknie się, że te buty są uszkodzone. Jestem pedagogiem, więc jeśli dostaję uszkodzone dzieci, nie przeży-wam tego emocjonalnie, tylko biorę się do roboty. Dobrych wychowawców, takich, którzy są dla nas wzorami, chcemy słuchać. •